

Michał
Cetnarowski

Labirynty

Egzemplarz promocyjny
nie do sprzedaży



powergraph

Copyright © 2009 by Michał Cetnarowski
Copyright © 2009 by Powergraph
Copyright © 2009 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Sławomir Spasiewicz

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel./fax: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl



Internet: www.amazonka.pl

Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
www.powergraph.pl
e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-13-4

Printed in Poland, EU

Labirynty

Labirynty

„Szumi wicher – płacze, w gałęziach jodłowych – dokądże mnie wiodą bogunki żałobne?”

Tadeusz Miciński

A mówiła mu, żeby nie wyjeżdżał z domu.

Słońce właśnie wstawało, przeświecając przez szczyty, długie, chłodne cienie drzew wyglądały pięknie pod błękitnym niebem. A ona stała, kiedy podwiązywał na końskim grzbiecie tłumok z kocem, i uśmiechając się przepraszająco, głaskała go po policzku. Tak, to tylko parę dni, a bez nowych narzędzi nie przygotujemy łóżeczka, może nawet uda się wystrugać lalkę z pachnącego lasem pieńka na opał. Ale... Nie jedź. Tak, wiadomo, choć wszystko dopiero w planach, to przecież lepiej być przygotowanym... Ale – nie jedź.

Lecz słońce świeciło tak pięknie (tak może świecić tylko wczesną jesienią), ciemna zieleń ciągle soczystych traw, rozlanych plamą łąki na skalistych stokach, przyzywała jak chłód stawu po dniu pełnym pracy. To tylko kilka dni, uspokajał, zaraz wrócę, mówił. I oczywiście pojechał.

Kiedy już wracał, z siodłem ciężkim od nowych hebli i sierkiej, z grzechoczącym workiem gwoździ przed sobą, z krót-

kim piórem piły drgającym sztywno przy każdym końskim kroku, myślał jeszcze o pijanej wiedźmie w starych łachmanach, krążącej przy ognisku. Nigdy nie prosił podobnych kobiet o wróżbę, zawsze odmawiał, kiedy brały jego rękę w swoją brudną dłoń i zaczynały szukać linii losu i bogactw. Także i tym razem odmówił.

Jednak głowa ciążyła już tak bardzo, a bliski ogień był tak ciepły i huczał. Kiedy więc siadła przy grupce smolarzy, razem z nim wieczorzających przy ogniu, nie odwrócił wzroku. Duże karty migwały hipnotycznie, tłuste powierzchnie przewijały się wolno, kiedy wiedźma przekładała talię uszponioną dłonią, raz za razem, wolno, nie spuszczać wzroku z brodatego, siedzącego obok smolarza. A potem zaczęła wykladać karty na ziemię i w czerwonym blasku tańczącego ognia pojawiły się wróżki i nimfy, roje spadających gwiazd, smok o obciętym łbie, rycerz na koniu chudym jak śmierć, wściekły pies, drzewo wisielców, głupiec, boleść – i diabeł. Z każdą kartą twarz smolarza bladła coraz bardziej, kpiący uśmiešek na ustach znikł już dawno. Tylko ogień jakby strzelał coraz wyżej, znaczył pobrużdżone rysy gęstą plamą cienia. Zbladła nawet wiedźma, jednym ruchem zgarniająca rozstawione karty i z roztargnieniem chowająca kilka miedzianych monet. Odeszła, jednak swobodny nastrój już nie wrócił tej nocy. Wpatrzeni w ogień siedzieli tylko, on i smolarz, nie słysząc, z czego śmieje się reszta przy ognisku, w czerwonym płomieniu widząc przewijające się kształty smoka, końskie łby, wyszczerzone paszcze, głupca – i diabła.

I diabła.

A kiedy przejechał już ostatnią przełęcz, kiedy pokonał pełną skalnych odłamków ścieżkę biegnącą niebezpiecznie w podcieniu strzelistej grani, za którą droga zakręca i wiję się wśród głązów prawie pod nogi chatki, już wiedział, przypomniał sobie twarz wiedźmy o pijanym spojrzeniu i już wiedział.

Mówiła mu, żeby nie wyjeżdżał z domu.

Koń strzygł uszami. Nad nim srebrzyło się niebo, czarna chusta przykrywająca świat, tysiąc gwiazd jak malutkie dziurki wygryzione przez mole. Pustynia wokół była ogromna.

Malutkie ognisko rozpalone w zagłębieniu wykopanym w piasku dawało niewiele światła i jeszcze mniej ciepła. Siedział opatulony starym kocem, tylko na twarzy tańczył czasem rudy poblask ognia, język cienia lizał podbródek, żeby zaraz skryć się w oczodole. Widoczny w słabym kręgu światła koń stał sztywno, czasem tylko wstrząsany dreszczem, nawet mimo narzuconej kapoty. Zwierzę było spokojne, nigdzie nie było żywej duszy; już dawno nie widzieli padlinożerców bądź innych dzieci pustynnego zmierzchu. Jedynie chłód przychodził do nich obu co noc. Wspomnienia były tylko jego.

Znów nie mógł zasnąć. Co chwilę szczelniej naciągał derkę, jakby w ten sposób mógł się odgradzić od przeszłości i ostrych igieł mrozu. Jednak chłód i tak znajdował do niego drogę, jak co noc kłuł setką igieł osłonięte od ognia plecy, mroził stopy, wciskał się pod kołnierz, nieodmiennie znajdował drogę do serca. Biała para oddechu unosiła się wokół głowy.

Jednak dziś nie mógł zasnąć nie z powodu zimna. Nawet nie z powodu pustyni, wielkiej, o piasku grubym jak ziarna soli, pofalowanej nieruchomym sztormem wydm, nieskończonej, o niebie białym od słońca w dzień i srebrnym od mrozu w nocy. Tylko skały przypominały mu o domu, choć i te były inne, bure, potrzaskane, chropawe, jak chore kości wielkich zwierząt przysypanych przed wiekami przez piasek. Jednak dziś nie mógł zasnąć z innego powodu. Tak jak wtedy, jak tamtego dnia, czuł coraz wyraźniej. Zbliżał się do celu. Labirynty, stare korytarze, o których tyle słyszał i śnił, nocą przed tymi nielicznymi porankami, kiedy nie budził się

z ulgą, zlany zimnym potem – tylko po to zresztą, żeby na jawie śnić nawiedzający go nocą sen.

Labirynty...

Koń strzygł uszami, na pustych wydmach nie zawodził nawet wiatr.

Tak, kres podróży był coraz bliżej.

* * *

Czasem szaleństwo jest jedynym sposobem na ból. Struna życia pod ciężarem myśli napręża się coraz bardziej, jak stalowa nić, rozsuwa coraz mocniej, ciągnięta tępo w otchłań przez bezwładne cielsko lewiatana rzeczywistości. Wizg dartego metalu i pękającej w szwach normalności jest nie do wytrzymania. I nagle struna pryska. I nie ma już nic.

Pustka.

Cisza.

Ruchy na powrót stają się opanowane, może nawet nadzbyt opanowane, gardło już nie pluje krwią i rykiem. Nawet rany rozdrapane na twarzy wreszcie zamieniają się w blizny, wkrótce nawet ich nie widać, małych, zsiniałych, wąskich, pokrytych zarostem kolejnego dnia. Znowu można jeść i przelykać, choć język jak popiół, już nie czuje smaku, twarz nawet nie drgnie, tylko kęs za kęsem, rytmiczny ruch szczęk. Jedynie oczy wyglądają może trochę inaczej niż kiedyś, za dużo widziały. Jeśli nawet mętna źrenica znów jest czysta i zimna jak górski potok w ostatnim dniu zimy (czujesz ten chłód?), to jednak gdzieś tam, na dnie – a w gwiazdzonej nocy nawet całkiem blisko – widać czerwień zacieków i pajęczynę popękanych żyłek. I tyle; wszystko znowu, na pozór, wygląda normalnie.

Ale szaleństwo nie odchodzi, podobnie jak w bajkach nic nie może wyleczyć rany zadanej lodowym ostrzem palącego dłoń miecza zemsty. Nic nie może przegonić wspomnień.

Zawsze, kiedy myśli o tym dniu, wie, jak to wyglądało naprawdę, jak od grani biegł z koniem trzymany za wodze,

kluczając między skalnym gruzem i większymi rozpadlinami, ciągnąc wierzchowca na siłę, bo zwierz sam bał się przyspieszyć, ranił sobie pęciny o wystające kamienne drzazgi. A potem puścił zwierzę, zresztą, jakie zwierzę? po co? i wokół jaka pustka, tylko pięści starte do krwi, choć przecież nic nie ma... A potem biegł już sam, i biegł, biegł, i biegł, słońce stało wysoko, góry i szczyty rzucały chłodne cienie. Były jeszcze jodły rozkołysane na wietrze i koń, gdzieś z tyłu, stojący nieruchomo na międzyskalnej łące, ciemny cień na soczystej plamie zieleni.

Jednak zawsze, kiedy o tym myśli, widzi siebie, jak wolno, niby posąg ze stali, jedzie na ciężkim wierzchowcu, mija głązy na wyciągnięcie ręki, biała ścieżka wiję się między zielonymi płatami hali. I jedzie, wiedząc, co go czeka. Twarz nawet nie drgnie, a choć nawet najmniejsza chmurka nie zwiastuje deszczu, gdyby ten jednak spadł, na policzkach zakrzepłyby śliskie sople kropel. Szczyty rzucają długie cienie, obcy błękit nieba prześwituje przez wyrwy wśród górskich iglic, a on jedzie wolno, pomiędzy skałami, wyjeżdża na trakt, wiodący do chatki, nie zatrzymuje się, jedzie, żeby zobaczyć wyłaniające się przed nim obrazy.

... żeby zobaczyć obrazy.

* * *

Słońce grzało niemilosiernie. Pustynia za plecami pulsowała nerwowym rytmem, powietrze drżało nad patelnią piasku, unosiło się w górę rozdygotanymi strumieniami. Spod szmat owijających głowę ciekły słone, ciepłe krople, oczy piekły, podrażnione potem. Poły grubej koszuli lepiły się do ciała. Koń pod nim jakby zamarł w pół kroku.

Przed nim, jeszcze daleko, rozciągała się skała. Wielka, czerwona, wysoka jak najwyższe szczyty, szeroka, Boże, jaka szeroka, ginąca po obu stronach poza granicami wzroku. Teren wolno wznosił się, podjeżdżał, łachy piasku pomiędzy skalistymi wyspami były coraz mniejsze i pojawiały

się coraz rzadziej. A potem, widoczne nawet stąd, były poszatkowane pęknięciami ściany i czarne, nieforemne ślepie jaskiń w czerwonej skale, wnęki duże i małe, widoczne na poziomie gruntu i ziejące wysoko, jak tylko sięgał wzrok. Terasy wielkie nawet z tej odległości, otwory wyrwane ze skały w połowie drogi między rudymi fundamentami a błękitem nieba. Jak nadbrzeżna skarpa podziurawiona jaskółczymi gniazdami. Stary, rozpęknięty kopiec termitów, zniszczony deszczem i mrozem.

Labirynty.

Skąły.

Popędził konia piętami.

Dokładnie takie, jak opowiadano.

* * *

... żeby zobaczyć obrazy.

Strzaskany kręgosłup kamiennego komina, który stawiał razem z jej kuzynami, szerniała podmurówka, szczerząca się spod zgłiszczy. Brudny puch z pierzyn na trawie, daleko, nawet pod skałami, podrywający się czasem, wirujący na wietrze. Gliniane skorupy malowane wesołymi barwami w wiosenne kwiatki i listki, rozrzucone jak układanka i wdęptane w ziemię. Kikuty desek obłożące rakiem spaleniźny. Grube bale stropu zapadnięte jak żebra w klatce piersiowej zmiażdżonej końskim kopytem. Kolorowa okiennica, nie tknięta przez ogień, prawie jak nowa, leżąca z wyłamany zawiasek spokojnie obok drogi, tylko czerwien wymalowanych kwiatów szpecą rdzawe rozbryzgi. Bezgłowy, zwęglony korpus kozy, pokurczony, leżący przed wejściem. I... i...

I popiół, tłusty popiół, na rękach, uwalanych po łokcie, na nogawkach spodni, kiedy brodzi w nim jak w morzu, na udach, grube smugi na twarzy. Popiół we włosach, na ramionach, na piersiowej klatce, popiół w ustach, na języku, w krtani, popiół pod powiekami, tak głęboko, w oczach, pod powiekami.

Kiedy już zebrał wszystkie szczątki, strzaskane bale, z którymi szarpał się strasznie, resztki desek, garnki, samotną drewnianą łyżkę, jedną z kilku przygotowanych kiedyś dla gości podróżujących przełęczami, znaną w trawie; kiedy w dziurę w ziemi wrzucił nawet gonty z niedającego się tak łatwo podpalić dachu, okucia skrzyni, bezgłowe truchło kozy i popalone resztki małej kuszy, którą mógłby się ostrzeliwać przez niewielkie świetliki w okiennicach, gdyby był za drzwiami; kiedy zasypał płytką piwniczkę pod podłogą domu, gdzie kiedyś trzymali jedzenie, teraz pustą, niski kopczyk usypał także dla niej.

Za domem („resztki”, „zgliszcza”, nie „dom”, wbij to sobie do głowy), tam, gdzie lubiła schodzić po wodę i gdzie słońce zachodziło najdłużej, w objęcia nocy wślizgując się ciepło pomiędzy skałami, wygrzebał najpierw w ziemi płytki dół, pomagając sobie ostrzem nowej piły i raniąc dłonie o kanciaste kamienie. Potem z komina i podmurówki odłupał to, co się dało, dobrał głazów z okolicznych stoków, wytaszczył nawet jeden ze strumienia, ten, na którym siadali czasem, letnimi wieczorami, i układał je długo nad grobem, pod szczytami.

Potem wrzucił pogięte ostrze nowej piły, nową siekierę, gwoździe i niewielką belę materiału, którą kupił dla niej, do pierwszego dołu ze szczątkami, i zasypał je ziemią. Rozebrał się, podarte ubranie, czarne od ziemi i sadzy, jak mógł, wyprał w strumieniu. Nagi, przesiedział nad nim całą noc, tam, gdzie przychodziła po wodę i gdzie lubili się kochać.

Nie wie, co jadł przez wszystkie te dni. A gdy noc nad strumieniem dobiegła końca, a za szczytami zaczął wstawać upiornie blady jesienny świt, włożył ciągle wilgotne ubranie, znalazł konia na skalistej łące, tam, gdzie zawsze go wypasali, napełnił bukłak wodą ze strumienia i odjechał. Za nim wiatr rozwiewał powoli resztki popiołu w nagich kamien-

nych ruinach i schły jesienne wrzosa, których mały bukciecik wieńczył niewielki, skalisty kurhanik.

* * *

Siedział na skałach i palił ogień. Wysoko nad głową skrzyły się gwiazdy, ale tu, pod skalną ścianą, były one jakoś przytłumione, zgaszone, czarny monolit przytłaczał ogromem nawet przestwór nieba. Koń stał obok, wstrząsany dreszczami. Podkute kopyta od czasu do czasu klekotały o kamień. Ostatnia noc pod gwiazdami. Potem nie będzie już odwrotu.

Dorzucił do ognia suchą szczapkę, przywiezioną ze sobą, kijkiem poprawił w ogniu wyschły koński nawóz. Schował nieprzeżuty kawałek suchego mięsa z powrotem w juki, opatulił się szczelniej kocami. Ostatnia noc.

O Labiryntach wijących się w skałach na południu pierwszy raz usłyszał jako dziecko. Dorośli mówili o nich i o pustynnych cmentarzyskach bestii, gdzie można chodzić pomiędzy olbrzymimi piszczelami jak między białymi filarami świątyni; opowiadali o opustoszałych miastach, kryjących się za piaskami, rzekach lawy i Ciemnym Stawie, na którego dnie mieszka smok. I o Labiryntach.

Podziemnych korytarzach wyrwanych skale, drażonych przez wodę, a może przez ludzi, tylko kto, jaki lud byłby tak śmiały bądź szalony, żeby zapuścić się tak daleko w głąb czerwonych ścian? Skryte w mroku drogi kluczyły ponoć raz wyżej, raz niżej, to opadały łagodnie, to wznosiły się stromo, żeby nagle urwać się na jednym ze skalnych stopni, zakończyć wyrwą w ścianie, z dołu wyglądającą jak ptasie gniazdo wydłubane w urwisku. Ścieżki czasem przecinały się, krzyżowały, splatały, a czasem kończyły ślepo. Czasem, najpierw łagodnie, opadały w dół, żeby nagle zapikować prawie pionowo, sunąc ciemnym kominem prosto w głąb ziemi.

Skała była ogromna, podziemne ścieżki – jak pajęczyna. Czasem, jak mówiono, choć nikt stąd nie wrócił, można by-

ło wejść pod ziemię i kluczyć tam całe życie, nigdy nie natykając się na te same miejsca i nie widząc słońca. Można było wejść tylko na chwilę, żeby w sieci odgałęzień nigdy już nie znaleźć właściwej ścieżki, żeby utknąć w płataninie korytarzy, nie mogąc odnaleźć drogi do wyjścia, po której jeszcze przed chwilą kroczyło się tak pewnie. Czasem można było krążyć wśród skał długo po wypaleniu ostatniego łuczycza i umrzeć wreszcie, nie napotykając żywej duszy, jakiegoś stworzenia, nietoperza, nic. A czasem można było spotkać kogoś z Czarnego Ludu, i to było jeszcze gorsze.

Skalne golemy z kamiennymi młotami zamiast dłoni, kanciaste, nieforemne, z bezokimi, obłymi pyskami, dudniące o ściany w całkowitym mroku. Ciche szmery, przeradzające się w ciemności w nagły jęk chichotu, fosforyzujące białe nimfy, unoszące się z rozwianym włosiem nad powierzchnią podziemnego stawu, rozkładające ręce, jakby dryfowały w przezroczystej toni, a potem nagle otwierające czarne, puste oczy i rozchylające dziury ciemnych ust do krzyku, pulsującego wizgu wibrującego coraz szybciej na ostrych szpicach ząbków. Miękkie, wielkie skrzydła, bijące w ciemnościach po twarzy, skórzaste i suche, kiedy niewidoczny kształt podczas snu przysiadł właśnie ciężko na piersi; grube kształty larw, chrupiące pod podeszwami, z każdym krokiem w głąb więcej i więcej larw.

Ale bajki mówiły o czymś jeszcze. Kiedy ktoś chciał nie tylko wystraszyć dzieci, ale naprawdę dać im o czym myśleć w długie wieczory zimy, opowiadał dalej o labiryntach wykutych pod światem. Jak mówiono, jeśli bardzo się czegoś chce, ale naprawdę bardzo, nie tak jak mleka słodzonego miodem i kruchego ciasta z orzechami, bardziej nawet niż wody w letni skwar na polu i mocniej niż koca zimą na przełęczy – wtedy, w Labiryntach, można to ponoć otrzymać. Ale trzeba chcieć, i więcej nawet niż chcieć, trzeba pokonać siedem rzek i cuchnące bagna, przejść siedem gór i przekro-

czyć pustynię, trzeba zostawić wszystko i wejść w ciemną czeluść, pożegnać się z gwiazdami i słońcem na wysokim niebie. Trzeba pragnąć tak, jakby bez tego czegoś, czego pragniemy, nie można było żyć. I więcej nawet – naprawdę trzeba nie móc żyć bez tego. I trzeba szukać.

Siedział przed czarnym masywem i dokładał do ognia. Nie mógł spać.

Labirynt wielki jak życie.

Wchodzisz i znajdujesz nic prowadzącą do złotowłosej pani i rozświetlonego wyjścia. Albo wybierasz kierunek przeciwny – i jak po sznurku wędrujesz ścieżką, na której końcu czeka bestia o bawolich rogach i ciemność.

Labirynt jak życie.

* * *

Znalazł ich szybko. Pomógł przypadek lub czarne bogi zemsty, może nie próbowali jakoś szczególnie uciekać, a może po prostu, jeśli znasz góry, to je znasz, i jeżeli w nich kogoś szukasz, to znajdujesz. Jakkolwiek by było, doszedł ich przed świtem trzeciego dnia od wyjechania z przełęczy.

Pięciu zbójów popasających w górskiej kotlinie, niewielkiej, skalistej, takiej, jakich wiele. Ognisko dawno już wygasło, trzech spało, wtulonych w zwierzęce skóry, dwóch przycupnęło na skałach, każdy u swego wylotu z górskiego kotła. Czekał.

Nad ranem, kiedy podwiązywali popręgi i sikali w popiół ognia, prawie słyszał, jak brzęczą okucia długich, krzywych szabel, jak parskają pojone wodą z bukłaków konie.

Czekał.

Pierwszy raz pozwolił im dostrzec się po południu. Oczywiście nie dali po sobie nic poznać. Zmienili jednak szyk, jednego wysyłając przed siebie, ale tak, żeby był w zasięgu wzroku, drugiego pozostawiając z tyłu. Nie wjeżdżali już tak pewnie w doliny i tak szybko, jak mogli, zjeżdżali z odsłoniętych stoków. I planowali zasadzkę. A on dalej to za długo po-

zostawał na szczycie wzgórza, nie spiesząc się z ponagleniem konia, to zbyt wcześnie rozpałał zbyt duże ognisko, z którego dym nie unosił się jeszcze czarnym słupem w powietrze, ale które z ich odległości można było wyczuć, a czasem, przez chwilę, także i zobaczyć poświatę.

Kiedy popędzili dalej same konie i zaczęli się na niego w wąskiej skalnej ciaśni, nadłożył znacznie drogi i ryzykując złamanie końskiej nogi, wspiał się ponad nimi skalnym piargiem, zasłaniając zwierzęciu oczy i prowadząc je ostrożnie wśród skał. Kiedy spróbowali osaczyć go w jego obozowisku na skalnym szczycie, płaskim jak stół, zostawił tłące się ognisko i z kamiennej szpicy przyglądał się z oddali, jak próbują go podejść. Jadł jaszczurki i dziką rzeżuchę, chwycił czarne węże, które – jeśli nie zabić ich dość szybko – pokrywały się całe śmierdzącym śluzem, i wiążąc rękawy koszuli, próbował łowić małe rybki na rozlewiskach górskich potoków. Robiło się coraz zimniej. Czekał.

Doczekał się kilka dni przed tym, zanim spadł śnieg. Z pieszym zwiadem górskiej straży ścięli się na rozległej polanie, pod okapem stromego szczytu. Zwiadowca rozbójników natknął się na szpicę wojska, kiedy wjeżdżali właśnie na równy teren pod płaską, skalną ścianą. Może wyglądałoby to inaczej, gdyby zbójcy nie spodziewali się czegoś takiego, gdyby nie jechali w napięciu od wielu długich dni, i może nie doszłoby do walki, gdyby trakt za nimi nie opadał tak stromo w dół, uniemożliwiając ucieczkę. Jednak rozbójnicy mieli za sobą za dużo nieprzespanych nocy, a droga powrotna straszyla kamiennymi odłamkami i wizją potrzaskanych końskich piszczeli, przebijających się przez skórę, kiedy zwierzęta próbują tylko choć trochę szybszego kroku. Zamiast więc uciekać, słysząc wściekły okrzyk jakby potwierdzającego ich wielodniowe podejrzenia zwiadowcy, popędzili konie i z zimnymi twarzami wyskoczyli na polanę. Krzywe

szable, uniesione, białe jak kości pod ciężkim kozuchem chmur przysłaniających słońce.

Strażników było więcej, w dodatku lepiej uzbrojonych, ale zbójcy nie mieli odwrotu i spodziewali się walki. Natomiast nie spodziewali się czego innego. Wypadł za nimi na polankę, jak tylko do niej dotarł, wyskoczył z przesmyku, kiedy walka rozgorzała już na dobre, a w zasadzie już wtedy, kiedy porażka strażników była coraz bardziej oczywista. Szable zbójów zatrzymały się w powietrzu, zęby zgrzytnęły głucho, bo przecież jak mogli o nim zapomnieć?! A on wtedy, w pełnym pędzie, wjechał w zbity oddział broniącej się coraz rozpaczliwiej straży, z gołymi rękami rzucił się z konia, żeby gryźć, szarpać i kopać, dusić i okładać naokoło kulakami, żeby wyrwać krótki miecz strażniczy i ciąć nim na oślep, bez opamiętania. Umazani krwią zbójcy dziwili się tylko przez chwilę. Ze zdwojoną siłą uderzyli na topniejące szeregi wojska, kto z młodych strażników nie zdołał uciec, wkrótce ze szklistym wzrokiem zwałił się na polankę.

A potem otoczyli go, we czterech, bo jeden z nich leżał razem ze strażnikami, a on, ze spuszczonego ostrzem, ciężko łapiąc powietrze i próbując potrząsaniem głowy wypędzić mord spod powiek, stał pod czterema sztychami i złożył im swoją propozycję. Milczeli długo, nie bacząc na spływającą z ich ran krew, a potem ten, który był ich hersztem, krótko kiwnął głową.

Tak, możesz do nas dołączyć. Tak, pojedziesz z nami.

* * *

Tuż przed świtem wszedł w ciemność. Poklepał po szyi rozsiodłanego konia, jedno z łuczyw niesionych w naręczu na plecach wyciągnął przed siebie. Żółty płomień zaskwierczał i zatańczył na ścianach. Wszedł w ciemność.

Kamienna ścieżka szybko zakręcała i po chwili, gdy odwrócił się, chcąc jeszcze raz spojrzeć na ciemne niebo, zobaczył za sobą tylko fragment chropawej skóry skały. Nie wró-

cił, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście nie zdołałby już odnaleźć drogi na zewnątrz. Był w Labiryncie. Nie było odwrotu.

Tak jak mówiono, pajęczyna sztolni ciągnęła się w nieskończoność. Sklepienie to podnosiło się, to opadało, a wtedy ciemny dym łuczywa kopał kamień i szczypał w oczy. Ścieżka co chwilę rozdwajała się lub rozszczepiała na więcej odnóg, nieme usta bocznych korytarzy otwierały się szeroko za każdym zakrętem, zastygłe w kamiennym grymasie nigdy niezaspokojonego głodu.

Szedł bez planu, korytarze wybierał na oślep (tak, tu pod ziemią to dobre określenie), prowadzony przez przypadek lub przez sam Labirynt. Kiedy był głodny, przystawał i żuł trochę suszonego mięsa. Kiedy chciało mu się pić, ściągał z pleców miękki bukłak i przez chwilę trzymał łyk wody w ustach, próbując wypłukać spomiędzy zębów drobiny piasku i skalny, gorzki pył. Kiedy był zmęczony, siadał pod ścianą i spał. Czas stracił rytm nocy i dni.

Nigdzie nic nie słyszał, tylko czasem, kiedy przystawał, próbując zebrać bądź odgonić myśli, w ciemnej ciszy powoli zaczynało coś cichutko dudnić, *dum-dum, dum-dum*, i jeszcze wolniej, kiedy uspokajał oddech, a wtedy wydawało mu się, jakby płomień zaczynał drżeć i nieznacznie pulsować w rytm jego serca. Cienie na ścianach układały się w długie, powykręcane kształty.

A kiedy wypalił już prawie wszystkie łuczywa, choć przecież i tak nie miał ich wiele, i kiedy bukłak napełnił już po raz kolejny w jednym z napotykanym podziemnych stawów o wodzie czarnej i zimnej jak lód, po wielu, tak wielu krokach i następnych odnogach, daleko przed sobą, na końcu korytarza, kiedy wyszedł zza kolejnego zakrętu, zobaczył słabą smugę światła. Zgasił łuczywo i na chwilę przymknął oczy.

* * *

Zbójce, choć zgodzili się, żeby jechał z nimi, trzymali się od niego z daleka i kołyszac się na końskich grzbietach, popatrywali ku niemu nieufnie spod zmrużonych powiek. Kiedy jedli, jadł z nimi, kiedy spali, spał i on. Nigdy jednak nie pozwalali mu pełnić warty, i kiedy kładli się przy ognisku, pod kocem, przy piersi zawsze trzymali obnażony nóż. Szybko jednak zbliżała się zima, musieli więc wreszcie znaleźć miejsce, gdzie w czasie długich wieczorów będzie można wygrzać pokiereszowane kości i pokrzepić się kubkiem samogonu cierpkiego niczym pajęczy jad. Kiedy na górskich traktach nie napotkali więc już nikogo, kto przewoziłby skóry i solone mięso, zganiał z hal owce, żeby przeczekać zimę, lub wracał z wyrębu, zawrócili konie i skierowali się do Siedliszcza.

Wejście do rozległej jaskini, jak gniazdo os podzielonej siecią mniejszych wnęk, znajdowało się w małej górskiej kotlinie o niewysokich ścianach i dnie oprószonym skalnym złomem, pozostałością starych lawin. Nikt z nizin jeszcze jej nie odkrył i nie wysłał tu wzmocnionego oddziału straży, niosącego ogień i krótkie piki przydatne do walk w górach, więc zbójcy zimowali tutaj kolejny rok, wcale nie zostając dłużej niż w innych podobnych kryjówkach, w końcu odnajdywanych i wypalanych przez strażę, jednak czuli się, jakby pomieszkiwali tu od zawsze. Żywot rozbójnika jest bowiem krótki i rzadko jesienią może opowiedzieć o tym, co robił jeszcze wczesnym latem. Z tego samego powodu, kiedy tylko ma możliwość, szuka on w górach własnej przystani, która może mu dać choćby pozory spokoju. Noce zimą są długie, a choć wypity w samotności kubek okowity smakuje tak samo, to jednak kości do gry grzechoczą już inaczej, rzucając na pustym blacie. Dlatego do Siedliszcza zjeżdżały podobne im grupy brodatych grabieżców, żyjących z ognia i zimnej stali. Kiedy się spotykali, dwa tuziny, a czasem nawet więcej głów, przez kilka, kilkanaście najzimniejszych ty-

godni w roku dzielili razem jaskinię, starając się nie oszukiwać w kartach, noże wyciągając tylko do odkrawania słoniny. Pojechał z nimi.

Sklepienie największej z jaskiń ginęło w ciemnościach nawet wtedy, kiedy na palenisku trzaskały największe, przynoszone z okrytych śniegiem odległych stoków bale. Gdzieś tam musiał być otwór, bo dym ulatywał prawie prostą, płynną smugą, ale w górze za dnia nie było widać choćby plamki światła. Konie zastawiono drągami w kolejnym, odległym załomie jaskini. Zbójcy rozłożyli swoje barłogi pod ścianami, w wykuszach i załamaniach, na skalnych półkach, wyglądających jak katafalki, i w płytkich wnękach. Swoje miejsce dostał także i on.

Przypatrywał się, jak grają w kości, stojąc z boku, bo choć trupom strażników zabrał broń i ciepły przyodziewek, to jednak nie miał nic, co mógłby zastawić. Razem z nimi łątał kubraki i wcierał łój w cholewy butów, wycinał z małych kawałków drewna toporne ludziki i chodził po wodę. Uczył się nawet palić Czarcią Pleśń, po którą pojechali do obłąkanego znachora żyjącego na jednym ze szczytów. Gorzki dym już prawie nie drapał go w gardło, jednak ciągle jeszcze dyszał po nim głośno i gwałtownie wywracał oczami, pod zamkniętymi powiekami widząc inne światy, a potem, po wszystkim, zawsze długo stał na zewnątrz, tylko w koszuli, za zagrodzonym wejściem, sam też zgłaszał się do pracy, kiedy grupami wyprowadzano konie, żeby zobaczyły światło i poczuły świeży dech powietrza.

A potem przyszedł ten dzień. Zima wolno dobiegała końca. Wprawdzie wiatr gwizdał jeszcze w skalnych kominach i noce nadal były zimne, ale śnieg już nie padał i czasem wychodziło nawet słońce. Wprawdzie lodowe czapy utrzymują się jeszcze długo na skalistych zboczach, ale zbóje byli już zmęczeni. Nadszedł czas, żeby rozprostować kości.

Pojechali nie wszyscy, ale i tak było ich aż nazbyt wielu na kilka stojących blisko siebie chatek smolarzy, zbitych, by przeczekać kolejną zimę, może ostatnią, jak myśleli co roku, bo wkrótce trzeba ruszać dalej. Może ostatnią...

Pojechali, a choć na przednówku wcale nie spodziewali się jakichś wielkich łupów, to jednak niejeden z nich niepotrzebnie o raz za dużo wyrzucił kości, zamiast wstać od pustej beczułki, służącej im za blat do gry, niejeden o rozdanie za długo siedział pomiędzy kopcącymi świecami, i mieszki topniały. Byli też znużeni ciągnącymi się w nieskończoność wieczorami, w ciągłej ciemności jaskini. A ponieważ ludzie gór drogo sprzedają swoje życie, w tymczasowej siedzibie smolarzy dostali, czego chcieli.

Specjalnie się nie kryjąc, rankiem podjechali na podwórzec między chatami. Ktoś wyważył drzwi, ktoś ryknął śmiechem, wymachując pryskającymi tłuszczem pochodniami. Początkowo nie zamierzali palić domostw, ale z małego okienka nagle świsnęła strzała i śmiech wkrótce przemienił się w ryk.

Stał z boku, próbując uspokoić konia, który nie przywykł jeszcze do dymu i krzyków. Ale gdy ogień zaczął coraz chciwiej gryźć drewniane pieńki ułożone przy jednym z domów, a z wnętrza wysypało się kilku czarnowąsych smolarzy, wyjąc desperacko i wywijając widłami, także i on wyciągnął krótki miecz. Smolarze natarli z furją, ale i tak padali jeden po drugim, z twarzą rozpołowioną cięciem z wysokiego konia lub czaszką przekłutą zbójceckimi lancami. Jego broń była za krótka na walkę z końskiego grzbietu, ale i tak, tak jak wszyscy, rąbał zaciekle drzewca starających się strącić go wideł i próbował trafić w czarne, skołtunione głowy.

Ponad zduszonymi krzykami ludzi i trzaskiem ognia, którego żar czuł coraz wyraźniej, zobaczył nagle, czemu smolarze uderzyli na nich z taką zaciętością. Z kolejnej, także już podpalanej chatki, wymknęły się cztery postacie, od stóp do

głów spowite w czarne szmaty, i szybko puściły się w stronę lasu. Dostrzegli je też inni. Jeden ze zbójców krzyknął dziko i chciał popędzić w ich stronę konia, ale wtedy długa siekiera wbiła mu się z impetem w udo, a krzyk zamienił się w wycie. Jedna z biegnących osób przewróciła się nagle, chusta zsunęła się z głowy. Kiedy wstawała, odwróciła się na moment, a on pomiędzy splątanymi, długimi włosami dostrzegł na chwilę wpatrujące się w niego oczy. Potem huk ognia i pokrzykiwania zbójców zagłuszyły wszystko.

Wracając do jaskini, starał się nie myśleć o niczym.

* * *

Spała, kiedy wszedł. Korytarz w tym miejscu rozszerzał się, tworząc przy ścieżce niewielkie pomieszczenie. Płomień postawionej świeczki zadrżał, kiedy stanął za zakrętem. Obok, na rozłożonym kawałku materiału, leżał napoczęty suchar i to, co pozostało z grubej gomółki sera. Spała, oparta o ścianę.

Stał w tym samym miejscu, kiedy otworzyła oczy. Nie krzyknęła, westchnęła tylko, a potem szybko otrzepała z okruszków podróżną kurtę i szczelniej, odruchowo, zaciągnęła jej kołnierz pod szyją. Pasma siwizny przeświecały pomiędzy długimi, związanymi ciasno włosami, jakby omiotti je śnieg. Była piękna.

Kiedy nieznacznie kiwnęła głową, usiadł obok i złożył przy ścianie swój tobołek. Byli w Labiryncie. Milczeli długo, spoglądając ku sobie, a czasem po prostu zamykając oczy i opierając głowę o pociętą rysami ścianę, pozwalając odpocząć ciałom i myślom. Byli w Labiryncie. Tu każda ścieżka prowadzi do wyjścia lub w ciemności, każdy, kto tu wejdzie, dostaje ponoć to, czego bardzo pragnie albo co mu jest pisane.

Świeczka błysła i przygasła, zaskwierczał ciepły воск. Sięgnęła do płóciennego worka i wyciągnęła następną. Zaciśkając i rozprężając pięści, z głową opartą o kamień, zaczął

wreszcie mówić, z trudem, cichym głosem. Byli w Labiryncie. Po chwili poczuł na dłoni jej rękę. Cichy dźwięk głosu obijał się o ściany.

* * *

Gdy wrócili z wyprawy do zimowiska smolarzy, zaraz po tym wróciła też zima. Niebo znowu zasnuło się ciężką taflą chmur, mróz na powrót wcisnął ich w szczelnie zastawiane wnętrza jaskini, między skały. Po powrocie zaczęli na niego także inaczej patrzeć. Odtąd nie pytali już, gdzie był, kiedy dłużej nie wracał, wychodząc za potrzebą, nie sprawdzali wzrokiem, gdzie znajduje się najbliższe ostrze, kiedy przechodził obok, niosąc kociołek pełen wrzącego bulionu. Zaczął sam wyjeżdżać po drewno, kilka razy, śmiejąc się, próbowali go namówić na grę wielkimi, zatłuszczonymi kartami. Dalej jednak niewiele mówił i uśmiechał się słabo, co kilka dni, mimo mrozu, golił brodę i nie dzielił się snami. Kiedy wyjechali do znachora po maści do leczenia rannych, którzy przeżyli, pojechał wraz z nimi.

Choć mróz nie ustawał, dni były coraz dłuższe. Zbójcy coraz dłużej także spoglądali na brudne niebo i częściej wpatrywali się w odległe szczyty. Za niedługo znów trzeba będzie wyruszyć na szlak – ale i do płatnych dziewczek w karczmach w oddali. Dlatego może tak chętnie raczyli się Czarcią Pleśnią, przyniesioną od znachora, wypili resztki samogonu, trzymane na tę chwilę. Może to już ostatni raz, zanim wyruszą na szlak. Ostatni raz... Dlatego nie namawiali i nie podtykali mu nabitych fajek, kiedy tym razem on stanął przy ogniu i zaczął pełnić wartę.

Ocknęli się pod ścianą, zakneblowani, ułożeni równo jak szynki na straganie. Związał ich, czym mógł, paskami, sznurkami, którymi przytrzymywali spodnie, podartymi szmatami, końskimi popręgami przyniesionymi z prowizorycznej stajni. Wysoki ogień ogniska płonął tym razem bliżej ścian. I w blasku tego ognia go zobaczyli.

Stał nagi, jedynie z wąską przepaską na biodrach, z pierśią umazaną krwią tego, który razem z nim został przy ogniu. Wytrząsając resztki dymu z głów – i proszek, który może nie byłby potrzebny, ale który kupił od górskiego zielarza, kiedy wrócił targować się o lek na rozwolnienie, a potem wsypał go do cebrzyków, gdzie topili śnieg – patrzyli wokół zdezorientowani, a potem zaczęli się szarpać i wycić wściekle, próbując wypluć nawpychane im w usta szmaty. Śmierdziało starym niedźwiedzim sadłem, gęstym i tłustym, które wcierano sobie w pierś, kiedy na płucach siadł mokry kaszel. Wtedy go zobaczyli. Chciał, żeby widzieli.

Podchodził po kolei do każdego z nich, bez słowa, wyciągał szamoczący się kształt na uprzątniętą skałę. Ogień strzelała za plecami, ginąc w ciemnościach sklepienia. Nie wiedzieli, czy na dworze jest jeszcze noc, czy już dzień, a może kolejna noc. A on kładł ich na brzuchu, przykładał na plecach i łapiąc za włosy, odchyłał głowę, kiedy próbowali jeszcze grozić i wściekle charczeli. A potem obrzywał im łby, szamocząc się z brodami i długo piłując kości, wdychając zapach parującej krwi i czując gorące fale, raz za razem omywające dłonie. Potem odciągał rozedrgany jeszcze korpus i znów podchodził pod ścianę. Kiedy jego miecz już się stępił, wziął następny. Spociał się, ale tylko otarł czoło, zostawiając na skórze lepką pręgę, i pracował dalej.

Chciał, żeby widzieli.

Podłoga była śliska od krwi. Wkrótce wściekle krzyki przeszły w głuche wycia i łkania. Zapach niedźwiedziego sadła zmieszał się ze smrodem moczu i kału.

Chciał, żeby widzieli.

* * *

Umilkł. Dopiero po chwili rozchylił powieki, leżąc na jej kolanach. Popatrzył w ciemne oczy. Dłonią delikatnie gła-

skąła go po policzku. Patrzyli długo, a on już wiedział, kogo mu przypomina. Wiedział, gdzie wcześniej ją widział.

Świeca zaskwierczała i płomień zadrżał, kiedy pochyliła się i znalazła drogę do jego ust. Podnieśli się, przesunęli, ściągali wolno ubrania. Byli w Labiryncie. Dotknęła jego piersi. Zadrżał. Dłoń była gorąca, opuszki jak czerwone węgielki musnęły skórę. Pulsujący żar rozlał się po całym ciele i tam, w piersi, ból na chwilę zelżał.

Po wszystkim, objęci, leżeli nadzy, przykryci jej kocem. Otworzył powieki i w cichym półmroku dostrzegł jej błyszczące spojrzenie. Tak, wiedział, gdzie wcześniej ją widział.

— Śpij — wyszeptła z trudem (szepet jak oddech), z prawdziwym uczuciem, znów delikatnie przeciągając dłońią po jego policzku. — Zaśnij, będę czuwała — skłamała.

Uśmiechnął się, łagodnie, smutno, a choć oczywiście wiedział o kłamstwie, i tak był jej za nie wdzięczny. Byli w Labiryncie. Każdy, kto tu przychodzi, dostaje to, co dostać musi, a może to, czego bardzo pragnie. Tak przynajmniej mówiła bajka. Czasem, choć nie zawsze, jest to jedno i to samo. Dotknął jej reki. Przyniósł ją do ust i musnął wargami opuszki palców. Położył się i zamknął oczy.

Patrzyła, jak zasypia, jak uspokaja się jego oddech. Patrzyła na twarz, przypominającą jej inne rysy, zupełnie niepodobne, ale jednak przywoływane teraz pod powiekami, rysy tego, którego zostawiła w niewielkim kurhanie wśród gór, obok zgłiszczy domów, w których spędzali kolejną zimę, tym razem naprawdę ostatni raz. Ostatni raz... Choć kiedyś widziała go tylko przez moment, rozpoznała od razu, kiedy tylko stanął w załomie korytarza.

Patrzyła, jak zasypia. Czekwała. A potem wstała, ostrożnie, żeby go nie obudzić ze spokojnego snu, wyjęła z pakunków nóż o wąskim ostrzu i delikatnie odkryła koc. Klęknęła, leciutko pocałowała go, ledwo ustami muskając wargi, a po-

tem zrobiła to szybko, tak, żeby nie było dużo krwi. Odłożyła nóż, przykryła ich kocem i objęła go mocno.

Świececzka zaskwierczała i zgasła, zrobiło się cicho, bardzo cicho i ciemno. I w ciemności, nawet jeśli ktoś jeszcze by tam był, i tak nie dostrzegłby, czy płakała.



powergraph

powergraph.pl
sklep.powergraph.pl